

# Józef Lenart

---

## Moje wspomnienia

---

Rocznik Kolbuszowski 3, 43-54

---

1994

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## Moje wspomnienia

Urodziłem się 22 listopada 1901 r. w miasteczku Kolbuszowa w Galicji, jako jedno z dzieci Antoniego i Marii za Snopkowskich, małżonków Lenartów. Ojciec mój był rzemieślnikiem, szewcem i drobnym rolnikiem. Matka pełniła obowiązki gospodyni domowej. Miałem jednego brata Franciszka a z drugiego małżeństwa Ojca czworo przyrodniego rodzeństwa, gdyż matka moja zmarła nagle w 1918r. Dalecy moi przodkowie ze strony ojca byli zapewne przybyszami do Kolbuszowej Dolnej od strony mieleckiej. Pradziadek mój Jan Lenart, dziadek Józef Lenart urodzony w 1825r. i ojciec mój Antoni Lenart urodzony w 1876r. mieszkali kolejno na tej samej parceli lecz dom ich, w którym ja się urodziłem, był trzykrotnie przebudowywany. Dom mojej rodziny stał w części Kolbuszowej zwanej "na Piasku". Było to na Zakościelu, naprzeciw kolbuszowskiego cmentarza. Dzisiaj ulica ta nosi imię Gabriela Narutowicza, zaś mój dom jest trzecim budynkiem, za mojej pamięci, na tej parceli i posiada nr 29. Mieszka w nim dzisiaj mój młodszy, przyrodni brat Jan. Wychowywałem się przy rodzicach w Kolbuszowej, która jest moim ukochanym, rodzinnym miastem. Odwiedzałem ostatnio Kolbuszowę dość często i cieszyłem się mocno z jej rozkwitu i upiększenia. Pragnę przekazać trochę moich przeżyć, wspomnień i obserwacji, spostrzeżeń o tym jak zmieniała się Kolbuszowa w ciągu lat mojego życia (1901 do 1986).

Małopolska (Galicja) znajdowała się od drugiej połowy XVIIIw. pod panowaniem austriackim. Niewola austriacka w czasie mojego dzieciństwa nie była zbyt uciążliwa. Austriacy zdawali sobie już sprawę, że nie utrzymają długo w niewoli podbitych narodów i dawali im dużo swobód. Galicjanie, mój ojciec także, szanowali bardzo Franciszka Józefa, cesarza monarchii Austro-Węgierskiej, ale mieli żywe, polskie poczucie narodowe i myśleli oraz marzyli o odbudowaniu niepodległego państwa polskiego. Za głównego wroga Polaków uważali Mikołaja II cara Rosji, zaborcę większości ziem polskich i niechętnie odnosili się do wszystkich Rosjan.

Klasą społeczną przodującą narodowi polskiemu, pielęgnującą i rozszerzającą myśli i uczucia patriotyczne, była wtedy inteligencja, przewodzili jej w małych miasteczkach nauczyciele i urzędnicy, ludzie o dużym instynkcie społecznym. Wychowywali oni młodzież w wielkiej miłości do zniewolonej ojczyzny, rozwijali chęci pracowania i poświęcenia się dla niej.

Ja też należałem do młodzieży wychowywanej przez nauczycieli-społeczników. Starłem się brać z nich wzór i przez całe życie służyć mojemu krajowi uczciwą, ofiarną pracą oraz mieć życzliwość dla współobywateli. Gdy urodziłem się, Kolbuszowa stanowiła siedzibę powiatu kolbuszowskiego, do którego należa-

ło też miasto Sokołów i kilkadziesiąt okolicznych wsi. Powiatem rządził starosta, czasem Niemiec, czasem Polak. Starostwo mieściło się przy ul. Pańskiej, dzisiejszej ulicy Obrońców Pokoju, w starym budynku stojącym tutaj, gdzie dzisiaj jest Urząd Miasta i Gminy. Miasto Kolbuszowa było wtedy małą miasteczką przytuloną do rzeczki Nil oraz do stawów dworskich i kościelnych. Tonęła ona wśród piaszczystych gór, zarośniętych sosną i w zieleni ogrodów. Mieszkało w niej niecałe cztery tysiące ludzi, katolików i Żydów w większości bardzo ubogich. Władzę austriacką reprezentowało w Kolbuszowej kilku austriackich żandarmerów (posterunek ich mieścił się w rynku, przy ulicy wiodącej do bożnicy) i wielu austriackich huzarów. Szwadron huzarów stacjonował tam, gdzie dziś jest fabryka obuwia i dalsze bloki poza nią. Huzarzy ożywiały Kolbuszowę, umilali życie kolbuszowiankom i często żenili się z nimi. Żydzi stanowili swój osobny mały świat, z rabinem na czele. Za mojego dzieciństwa stawiano domy przy dzisiejszym kolbuszowskim rynku nazwanym teraz Placem Wolności, po wielkim pożarze z 1901 roku. Strawił on starą, drewnianą rynkową zabudowę. Za mojego dzieciństwa wychodzili też ludzie z wielkiej dziewiętnastowiecznej biedy. Działo się to dzięki ich uporczywej pracy i wielkiej emigracji do USA. Pracowali kolbuszowianie jak mrówki i często umierali młodo na suchoty i inne choroby, nie rozpoznawane i nie leczone. Dorobek ich pracy często niszczyły pożary, zaczynające się najczęściej w biednych żydowskich domach. Ludzie oglądali się co piątek, czy nie pali się gdzieś w jakimś żydowskim domu po przygotowaniu posiłku na szabas, żydowskie piątkowe i sobotnie święto. Dom moich dziadków, gdzie się urodziłem, stał na zakoście zwanym Piaskiem. Cały zakościeśny teren stanowił niegdyś folwark kościelny. Ludzie na Piasku byli w dawnych czasach poddani kościelnymi. Później, po uwłaszczeniu chłopów osiedlały się tu różne osoby zajmujące się głównie rzemiosłem, garncarstwem, krawiectwem i szewstwem oraz uprawą małych gospodarstw rolnych. Ojcowski dom z mojego dzieciństwa był domem drewnianym i miał gontowy, też więc drewniany dach. Sień dzieliła go na dwie części. Z jednej strony miał trzy izby, w których mieszkała moja rodzina, z drugiej strony, od północy miał dwie izby z osobnym wejściem. Te izby ojciec wydierżawiał, żeby mieć parę groszy co miesiąc. Dom stał wschodnią stroną przy drodze wiodącej z Kolbuszowej do Mielca. Poza nim w podwórku znajdowała się obórka na dwie krowy i cielęta, stajnia dla konia, stodoła na siano i słomę i inne pomocnicze przybudówki. Poza tym ciągnął się ku zachodowi kawałek naszego pola. Plony z niego pomagały przy pracy rzemieślniczej ojca wyżywić naszą rodzinę. Inny kawałek ziemi zwany "stajonkiem" dzierżawił ojciec tak jak i wszyscy mieszkańcy na Błoni, czyli miejskim gruncie ciągnącym się w stronę Nowej Wsi. Dom mojego dzieciństwa miał już drewnianą podłogę, ale piec kuchenny miał palenisko z dynarkiem, żelaznym stojakiem. Ogień rozniecało się i utrzymywało pod dynarkiem, na którym stał żelazny garnek z mającym gotować się pożywieniem dla ludzi, prosiaków czy innego domowego ptactwa. Dom ten został zburzony w odrodzonej Polsce i ojciec postawił nowy też drewniany budynek. Z lat przedszkolnych pamiętam, że pomagałem trochę mamie przy domowym gospodarstwie, przy hodowli zwierząt i ptactwa domowego, a także pilnowałem młodszego rodzeństwa. Wieczorem zawsze szedłem z mamą do udoju i piłem mleko ciepłe jeszcze "prosto od krowy". Mając pięć lat chodziłem trochę do ochronki organizowanej w czasie wakacji w budynku szkolnym dzięki staraniom nauczycieli, urzędników i rzemieślników, członków cechów. W siódmym roku życia chodziłem do klasy wstępnej, a potem przez cztery lata (1908 do 1912) do szkoły ludowej. Szkoły, szkołę męską, istnieje-

jąca od dawna i szkołę żeńską, nowo powstałą na drugim końcu miasta utrzymywali: urząd gminy czyli magistrat, rodzice uczniów, właściciele kolbuszowskiego majątku ziemskiego, dziedzice, dostarczając żywności na dokarmianie i pieniędzy potrzebnych na remonty. Troszczyła się też o nie organizacja "Polska Młodzież Szkolna". Rodzice uczniów mogli spełniać, w miejsce opłat w gotówce w reńskich, różne potrzebne szkołom prace. Szkoła męska stała przy tej samej ulicy co i mój dom, tylko bliżej rynku naprzeciw kościoła. Dyrektorował jej pan Michał Mróz razem z żoną nauczycielką. Moją pierwszą "panią" była Maria Ogonkówna, pochodząca też z Zakościela. Innymi nauczycielami tej szkoły byli Stanisław Gruszka, ks. Józef Chrzęszcz, Stanisław Przybyło, Antoni Winiarski i Aleksander Wilczyński. Uczył też trochę ks. Jan Dec z dworku "Szajtrówki". Szkoła była wzorowa. Nauczyciele posiadali dość gruntowną wiedzę i zapał do pracy. Przestrzegali, żeby ich wychowankowie byli czysti, prawdomówni i punktualni. Krnąbrnym, leniwym uczniom nie żalowali "łap", to jest bicia trzcinką po rękach i "siedzenia w kozie" czyli przetrzymywania w szkole po lekcjach.

Ja uczyłem się dobrze, szanowałem i lubiałem nauczycieli i unikałem kar. Z kolegów ze szkoły ludowej pamiętam kilku: Biesiadeckich, Dudzińskich, Adama Dobrowolskiego, Władysława Jadacha i innych. W czasie tej nauki i później musiałem pomagać w domowym gospodarstwie, zwłaszcza paść, od wiosny do jesieni, dwie domowe krowy a przez południe biegać na posyłki. Pastem krowy po miedzach blisko domu, trzymając je na sznurach.

Gdy byłem mały, lubiłem patrzeć na podwórko mojej szkoły męskiej, gdzie stale w czasie przerw zwanych pauzami, biegali uczniowie i spacerowali nauczyciele. Nauka odbywała się bowiem na dwie zmiany, to jest przez cały dzień. Gdy byłem starszy, brałem z sobą do pasienia książki i z przyjemnością uczyłem się z nich albo czytałem. Ojciec nauczył mnie wiązania krów w stajni na łańcuchach a także ich karmienia w stajni w czasie pory zimowej.

W szkole też chętnie spełniałem uczniowskie obowiązki, takie jak przygotowywanie kredy i gąbki do tablicy i innych nielicznych pomocy naukowych.

W pierwszej i drugiej klasie pisaliśmy rysikami na tabliczkach, zrobionych z ciemnej masy. W klasach wyższych piórami i atramentem na zeszytach. W długich, ciasnych ławkach szkolnych siedziało po czterech uczniów. Warunki życiowe zaś pomału poprawiały się. Nauczycielom i urzędnikom powodziło się lepiej niż rzemieślnikom, stąd też rzemieślnicy pragnęli uczyć swoje dzieci w szkołach średnich, gimnazjach, uczyli je też i urzędnicy.

Gimnazja państwowe rządowe były w Galicji tylko w dużych miastach. W małych zaś rodzice zaczęli organizować się, najczęściej z inicjatywy księży proboszczów i tworzyć gimnazja prywatne. Takie gimnazjum utrzymywało własnym kosztem budynek szkolny, grono nauczycielskie i nauczanie. Czynili to rodzice gimnazjalistów woląc ponosić taki wysiłek niż wysyłać dzieci poza dom, gdzie czyhały w nich różne niebezpieczeństwa. I właśnie pamiętam, że gdy byłem w czwartej klasie szkoły ludowej, ks. proboszcz Jan Markiewicz ogłosił z ambony w kościele, że w Kolbuszowej organizuje się prywatne gimnazjum, na razie pierwsza jego klasa. Związano komitet organizacyjny szkoły, potem Towarzystwo Szkoły Gimnazjalnej Męskiej w Kolbuszowej, rozwieszono afisze, wzywające rodziców, mających dzieci w odpowiednim wieku, do zapisania ich i posyłania do gimnazjum, rozsyłano też zaproszenia imienne.

Gimnazjum miało być ośmioklasowe, a szło się do niego po czwartej klasie szkoły ludowej. Było to na wiosnę 1911 roku. Ja ukończyłem właśnie czwartą klasę ludową i pragnąłem uczyć się dalej w gimnazjum, którego nauka miała

odbywać się w mojej szkole. Ale rodzice obawiali się, że nie będą mieli pieniędzy na opłacenie nauki gimnazjalnej. Poszedłem więc we wrześniu tego roku do piątej, ostatniej w Kolbuszowej klasy Szkoły Męskiej. Byłem już prawie dorosły.

Do wielkich przyjemności z czasów nauki w tej szkole należały dla mnie wycieczki klasowe, organizowane przez nauczycieli do miejscowych zakładów rzemieślniczych i we wtorki na rynek, odwiedzać i oglądać targ zwany wtedy jarmarkiem. W czasach mojego dzieciństwa mieszczenie-rzemieślnicy stanowili główną część mieszkańców Kolbuszowej. Praca ich zaspakajała prawie wszystkie potrzeby ludzi z naszego miasta i z całego powiatu kolbuszowskiego. Zarządy cechów, a istniały wtedy u nas: cech stolarzy, szewców i masarzy, słały zaproszenia do dyrekcji szkół, prosząc nauczycieli, żeby przyprowadzili uczniów i zachęcali ich do nauki rzemiosła. Wciąż bardzo szanowani byli wtedy stolarze, chociaż dawno już przestali wyrabiać historyczne, artystyczne meble kolbuszowskie i parkietowe podłogi. Spośród stolarzy wyróżniano panów Mazurkiewiczów. Pamiętano, że to ich przodkowie oraz ich czeladnicy i uczniowie, wykonali przepiękne parkiety w zamku łańcuckim. Również stolarze Winiarscy i inni wyrabiali komody, szafy, stoły, sekretarzyki, czy kufrы ślubne, które dzisiaj można odnaleźć w muzeach Krakowa, Warszawy, Poznania i Gdańska. W moich czasach szkolnych w warsztatach stolarskich w Kolbuszowej, do których chodziliśmy, robiono drzwi i okna do domów oraz sprzęt do nich, zamawiane głównie przez młode małżeństwa. Meble tych stolarzy służyły ich nabywcom przez całe życie.

Nasi obywatele śpiewali sobie wtedy jeszcze piosenkę: "Niech żyją nam kolbuszowscy stolarze - cechowa polska brać, niech pokażą światu na co Polaków stać". Stolarze robili też piękne ozdobne ramy i ramki oraz kasetki i toaletki. Chodziliśmy też do warsztatów szewskich, z tym, że ja taki warsztat miałem w domu. Ojciec mój był członkiem cechu szewskiego, któremu przewodniczył Edward Boroński. Odwiedzający ojca koledzy rozmawiali o zmieniających się modach na różne części składające się na całość u obuwia damskiego, męskiego, butów z cholewami, trzewików i pantofli, a to bucich czubów nazywanych szpicami, zapięć, obcasów. Kolbuszowscy szewcy - Boroński, Burkiewiczowie, Koczoniowie, Pomorski, Dudzińscy, Koczonie no i Lenart - mój ojciec jeździli na jarmarki i podpatrywali fasony u szewców z innych miast, ale i cech wysyłał wyróżniających się mistrzów na przeszkolenie do Rzeszowa, Krakowa, Lwowa. Robili zaś buty, a czasem i naprawiali, austriackim wojskowym, huzarom, stacjonującym w Kolbuszowej, kolbuszowianom i chłopom, mieszkańcom powiatu kolbuszowskiego.

Dawna wielka bieda tych ludzi, istniejąca w pierwszej połowie XIX wieku znikła w dużej mierze w drugiej jego połowie dzięki emigracji, zwłaszcza do USA. Wyjeżdżało tam wtedy mnóstwo naszych ludzi. Nie każdy jednak, kto wyemigrował, potrafił tam żyć i dorobić się czegoś. Niektórzy wracali, zawiedzeni.

U nas zaś maszyny stosowane do szycia wierzchów obuwia, zwiększały jego ilość i podnosiły jakość. Ja też nauczyłem się szyć na maszynie i pomagałem ojcu robić wierzchy. Gotowe buty odnosiłem do sprzedaży do żydowskich sklepów.

Trzeci cech tworzyli masarze wyrabiający wspaniałe kiełbasy i inne wyroby. Przy nich zaś żyło trochę biednych kobiet, które brały (kupowały) mięso i kości, gotowały galarety, robiły kiszki i sprzedawały to na rynku na straganach. Inne kobiety handlowały podobnie jabłkami, cukierkami.

Kolbuszowscy garncarze byli za mojego dzieciństwa i mieszkali u nas, na

Piasku i już na skraju Kolbuszowej Dolnej. Wyrobem i wypalaniem garnków trudniła się rodzina Dudzińskich nosząca stąd przydomek garncarzy, ale głównym mistrzem w tym rękodziele był za moich czasów pan Jan Dymitrowski. Był to człowiek wysokiego wzrostu z gęstą czarną czupryną, dużym wąsem i szczerym uśmiechem. Dom jego stał przy drodze kościelnej zwanej księżą, gdzie dziś stoi dom Markiewiczów. Pan Dymitrowski był chyba przybyszem do Kolbuszowej, nie miał rodzeństwa i krewnych poza swoją rodziną. Dom jego miał dwie izby oddzielone sienią od siebie. W każdej z tych izb były podłogi - polepy. W końcu sieni, po lewej stronie była spiżarnia, a po prawej drewnitnia, w której przechowywano drzewo na opał i do gotowania potraw oraz torf, używany do wypalania garnków i innych wyrobów. Sień miała drzwi z grubych desek. Robił mistrz Dymitrowski - a były to garnki, także i dwojaki łączone glinianą klamrą - miski, talerze, wazonki, wazony, na kole stawianym w jakiejś szopce, a czasem i na polu, a zdobił rysunkami kwiatów czy ptaków na gałęziach. Potem wypalał to wszystko w piecu, zbudowanym o 200 metrów za domem. Naczynia ozdobne pokrywał błyszczącą polewą "glejtą". Mistrz Jan przyjmował zamówienia na wazony od ogrodników i urzędników po wysokich cenach. Sprzedawał też wyroby na jarmarkach. Miał on kontakty z ludźmi z całej Galicji oraz z zaboru rosyjskiego i pruskiego i był dla nas ciekawą postacią, gdyż używał innego nazwiska i był ścigany przez policję austriacką. Z Kongresówki przyjeżdżali wtedy do nas na Piaski jacyś emisariusze, z Kongresówki Rosołowski i Dubiel, przywozili prasę i bibułę.

Najbliższymi moimi kolegami - sąsiadami byli Wojciech Cholewa (jego matka rodem z Kolbuszowej wyszła drugi raz za mąż za Dudzińskiego), Władysław Smejkał nazywany Smykałem. My trzej w wolnych chwilach, zwłaszcza w czasie wakacji, urabialiśmy mistrzowi Dymitrowskiemu niebieską glinę do wyrobu naczyń, nosiliśmy mu surowe garnki do wypalania w piecu i w ogóle byliśmy jego zaufanymi pomocnikami.

Byli w Kolbuszowej za mojego dzieciństwa tkacze, byli krawcy, rymarze, tapicerzy, fryzjerzy i inni rzemieślnicy i byli też ludzie wytwarzający tak zwany - drewniany towar. Ludzie ci mieszkali i w Kolbuszowej, ale dużo wytwórców tego towaru mieszkało po okolicznych wsiach, ukrytych wśród lasów. Robili oni drewniane łyżki, warząchwie, stolnice, masielnice, grabie, widły, pługi, brony, stołeczki itp. Inni robili sitka do cedzenia mleka, sita do zboża, przetaki. Jeszcze inni pletli koszyki, wyrabiali ule i wiele innych rzeczy potrzebnych ludziom. Wszystko to sprzedawano we wtorki, w dni targowe na kolbuszowskim rynku pod kościołem, a drewniany towar rozjaśniał, ożywiał i umiłał świat. Byli też piekarze i blacharze.

Mój młodszy brat Franek nauczył się szewstwa od ojca, ale robił też sita i rzeszota, potem wziął się do handlu drewnianą drobnicą i nieźle z tego żył. W bliższych i dalszych wsiach mężczyźni wyrabiali gonty, deski używane do krycia dachów. Mnóstwo domów w Kolbuszowej, po wsiach, a nawet i niektóre kościoły, miało za mojego dzieciństwa gontowe dachy.

Tkactwem trudnili się więcej ludzie ze wsi niż z miast czy miasteczek. Już przed pierwszą wojną światową instruktorzy roli zachęcali ludzi do uprawy lnu. Uprawiano go tam i przerabiano na płótno. Stąd ludzie wiejscy przywozili wtedy na jarmarki do Kolbuszowej całe bale lnianych tkanin różnego gatunku i koloru oraz wyroby z nich, sztuki bielizny, męskiej, damskiej, dziecięcej, pościelowej, ręczniki, obrusy, serwety, komplety ślubne. Ludzie ci ubierali się wtedy w lnianą odzież. Koszule robili białe, spodnie ciemne, kamizelki w różnych kolorach.

koszule wychodziły na spodnie spod kamizelek. Na głowie mężczyźni nosili w lecie słomkowe kapelusze. W zimie kobiety okrywały się różnymi grubymi chustkami, mężczyźni kurtkami i płaszczami, na głowy wkładali futrzane czapki. Kobiety nosiły na plecach zamiast płaszczy grube chusty wełniane zwane "kociaty" i po kilka spódnic.

Wszystkie sprawy przedstawione powyżej ciekawiły mnie i cieszyły, tak jak i sprawy szkolne. Nauczyciele bowiem starali się dobrze przygotowywać nas do życia i do służby ojczyźnie. W czerwcu 1912 roku skończyłem szkołę ludową. W sytuacji międzynarodowej zaczęły się jakieś pogroźki ze strony Niemiec, a nasi wychowawcy przygotowywali na zakończenie roku szkolnego sztukę p.t. "Kościusko pod Raławicami". My uczniowie byliśmy aktorami, kosynierami, zdobywaliśmy na scenie z kosami w ręku moskiewskie armaty. Odczytywano tekst Uniwersału Połanieckiego. Serca nasze biły żywo dla Polaków tak prześladowanych przez carat. Potem przez jeden rok szkolny przebywałem w domu, w ojcowskim warsztacie. Zdawało się, że będę szewcem, tak jak ojciec. Uczyłem się krajać skóry, szyc wierzchy na maszynie, robić spody i przysłuchiwałem się rozmowom ojca z odwiedzającymi go osobami. Ale moja matka pragnęła, żebym jednak poszedł do gimnazjum, ja też tego chciałem. I w lecie 1913 roku rodzice zapisali mnie do gimnazjum. Sprawili mi też wyprawę - granatowy mundur, płaszczyk, czapkę z literą "G" nad czołem i pierwszego września poszedłem do "budy" gimnazjalnej. Nie mieściła się już ona w szkole męskiej, lecz na skraju Kolbuszowej Dolnej niedaleko od drogi do Weryni, w domu Marcina Osiniaka. Potem dom ten kupił lekarz Siatecki. Dyrektorem Gimnazjum był wtedy Franciszek Sołtysik, a profesorami Maria Bielawka, Aleksander Dubanik, Henryk Moese i ks. Kajek Józef. Śpiewu uczył Stanisław Gruszka. Moimi kolegami w pierwszej klasie byli: Dudziński Eugeniusz zwany Giergieniem, Jabłoński Tomasz, Stanisław Koczón, Madejski, Skibiński, Leontyna Nowicka, Emme Wolińska i inni. Opiekunem naszej klasy został pan Aleksander Dubanik rodem z Krakowa. Uczyłem się, poznawałem nowe przedmioty zwłaszcza język łaciński i grecki, nowe zwyczaje szkolne. W niedzielę szło się parami do kościoła na mszę św. pod opieką nauczycieli. Z pierwszego roku nauki gimnazjalnej pamiętami szczególnie święto trzeciego maja 1914r. Wychowawca powiedział nam wcześniej, że w tym dniu przyjadą do Kolbuszowej z Rzeszowa konne oddziały "Sokołów" i "Krakusów". Sokoli byli członkami Towarzystwa Gimnastycznego "Sokół" działającego w całej Galicji, w Kolbuszowej również. Naczelnik kolbuszowskiego "Sokoła" pan Antoni Wałęga prowadził w naszym Gimnazjum Drużynę Harcerską im. Tadeusza Kościuszki. Rano w dniu 3 maja 1914 roku zebraliśmy się przed naszą szkołą, żeby pójść razem do kościoła. Panie z "Polskiej Macierzy Szkolnej" wręczały nam polskie białe-czerwone chorągiewki. Byliśmy w kościele, gdzie przybyli też "Sokoli" i "Krakusi". Patrząc na nich przeżywaliśmy chwilę uniesienia patriotycznego. Z kościoła udaliśmy się wszyscy w pochodzie do budynku "Sokoła" poza Starostwem. Tam "Sokoli" i "Krakusi" śpiewali narodowe pieśni. Jeszcze do dzisiaj słyszę pieśń "Sokołów", której słowa brzmią: "Ospały o gnuśny zgrzybiały ten świat, na nowe od życia koleje, z wygodnej pościeli nie dźwiga się rad, a ciało i dusza w nim mdleje. Hej bracia "Sokoły", dodajcie mi sił, by życia zapragnął, by powstał, by żył. Ojczyzna kochana dziś patrzy na nas i widzi w nas przyszlą ostoję. Dla niej to nauki jest drogi nam czas, a słodkie są trudy i znoje. Kochajmy więc Polskę, pracujmy dla niej, wzmacniajmy swe siły chcąc pomoc nieść jej".

Słowa polskich patriotycznych pieśni sprzed I wojny światowej zapadły głę-

boko w umysły i serca ówczesnych uczniów. Chcieliśmy dla Polski żyć i pracować. Na naszych oczach powstała ona potem z niewoli, kształtowała się i umacniała w trudzie i mozole, a chyba wszyscy moi koledzy pracowali dla niej szczerze i uczciwie przez całe życie. Nauczycieli nas tego nauczyciele i współpracujący z nimi działacze społeczni. Stwarzali oni w austriackiej Galicji tak bardzo polską, patriotyczną atmosferę. Z lat szkolnych pamiętam jeszcze to, jak na wiosnę mieliśmy majówki, czyli wycieczki do lasu. Na wakacjach sami biegaliśmy, gdzie się dało, w zimie zaś ślizgaliśmy się na stawach w ogrodzie plebańskim, albo na taflach lodowych zamkowej fosy. Należałem do skautów i chodziłem na ćwiczenia prowadzone przez pana Antoniego Wałęgę w budynku "Sokoła". Uczył on nas też gimnastyki, uczył strzelania z pistolerów korkowych, zakupionych przez siebie i zdobywania terenów wroga.

W tym czasie w Kolbuszowej i powiecie kolbuszowskim pomału polepszały się warunki życiowe. Powiększały się trochę dochody z gospodarstw rolnych, przybywało sklepów. Istniały Kasy Pożyczkowe, powstała Spółdzielnia Rolnicza "Pług" w domu pana Józefa Buczka, powstańca styczińskiego. Kolbuszowscy rzemieślnicy cieszyli się uznaniem i szacunkiem. Budowano nowe, murowane domy z drewnianymi podłogami, budynki gospodarskie. Był pęd do nauki, do wiedzy.

To życie przerwał wybuch pierwszej wojny światowej. W lipcu 1914r. mówiono o Sarajewie. Zaczęła się mobilizacja, a w sierpniu wojna Austrii i Niemiec z Rosją. Zabierano do wojska wszystkich młodych mężczyzn. Mojego ojca wzięto również. Pojechał furmanką do Rzeszowa. Zostaliśmy z matką. Wojska austriackie ciągnęły na wschód, ale wnet po miesiącu, po przegranej bitwie pod Kraśnikiem, cofały się na zachód, spychane przez Rosjan. Teraz i cywile uciekali na tereny austriackie. Matka i my, dzieci, zostaliśmy w domu. W połowie września przyszli Rosjanie. Zaczęły się ciężkie czasy - brak soli, mąki, mięsa, nafty i wszystkich innych rzeczy. Rosjanie - żołnierze chcieli kupować coś nieoś za ruble. Jarmarki w Kolbuszowej odbywały się pod ich okupacją, ale niewielkie i powstał na nich handel wymienny. Nasi ludzie nie znali rubli i nie chcieli ich przyjmować. Teraz Rosjanie byli u nas krótko, z półtora miesiąca i zostali odparci. Ale wkrótce, bo jeszcze w listopadzie 1914r., powrócili na całe pół roku, do maja 1915 roku. Teraz były to ciężkie frontowe czasy. Dziwiło nas to, że niektórzy "Moskale" mówili po polsku. Byli bowiem z części Polski zabranej przez Rosję. Zaczęły się amory z kolbuszowiankami, a nawet śluby. Pamiętam, że poszedłem do kościoła na pierwsze dwa śluby, który odbywały się razem. Chciałem zobaczyć orszak weselny i usłyszeć czy młodzi wojskowi żeniący się, będą przysięgać w języku rosyjskim czy polskim. Obydwaj mówili i przysięgali po polsku, a w orszaku ślubnym znajdowali się ich krewni, Polacy z Lubelszczyzny, przybyli na uroczystość. Po ślubie wszyscy ściskali się i całowali pod chórem. Ja zaś oglądałem po raz pierwszy Polaków z Królestwa Polskiego, spoza Wisły i Sanu.

W roku szkolnym 1914-1915 nie było nauki w kolbuszowskich szkołach. Wznowiono ją we wrześniu 1915r. po całkowitym opuszczeniu naszych stron przez Rosjan. Wróciły władze i wojska austriackie, ale bieda wojenna pozostała. Żyło się tym, co dawało własne gospodarstwo i przydziałem na kartki, jeśli było go za co wykupić. Wojenne zimy bywały akuratnie śnieżne i ciężkie. Po wsiach i miasteczkach poprzemarały ludziom ziemniaki, zrobił się głód, a z nim choroby zakaźne - czerwonka czyli dyzenteria, to jest ostre zapalenie śluzówki jelit, tyfusy, brzusznicy i plamisty, hiszpanka, uporczywa grypa i inne. Czerwonkę



leczone podając chorym imbir, ubijany w moździerzach. Dużo ludzi umierało. Wszyscy byli wyczerpani i osłabli.

Nie napisałem jeszcze, że wcześniej w 1914 roku, młodzi chłopcy z Kolbuszowej i okolicy nieco starsi ode mnie, zgłaszali się do Legionów. Szli walczyć. Ja byłem z matką i bratem w domu i uczyłem się.

W 1918 roku w czerwcu, skończyłem czwartą klasę gimnazjalną i mogłem już szukać pracy. Matka moja szukała jej dla mnie w Starostwie Powiatowym przez znajomego pana Augustyna. On dojrzał moje szybkie, bezbłędne, kaligraficzne pismo i wziął mnie do kancelarii Starostwa, najpierw na tygodniową bezpłatną próbę, potem na półroczną umowę. W biurze tym pracowali już z Kolbuszowej Dolnej p. Bronisław Ogonek, Bieda i Lasota, Franciszek Mazur. Najpierw byłem gońcem, a potem po przeszkoleniu, znalazłem się w dziale aprowizacji. Władysław Dudziński prowadził referat wojskowy. Wydawało się tu ludziom kartki żywnościowe, imienne listy na przydział niektórych artykułów, zboże na siew dla gmin. Kierownik mój sprawdzał codziennie, co załatwiłem dzisiaj, a co zostało do załatwienia na jutro. Zarobek miesięczny pomagał mamie i mnie opłacić artykuły żywnościowe i kupić odzież. Ale to zaczynające się lepsze dla mnie życie, trwało krótko. Matka moja dużo pracowała, smuciła się, bo nie przychodziły wiadomości od ojca z frontu i nagle zmarła, czerpiąc wodę ze studni, 18 października 1918r. Było to już przy końcu tej ciężkiej wojny. Bardzo ciężko przeżywałem śmierć matki i pogrzeb. Była jeszcze taka młoda i tak nam potrzebna. Doświadczałem, ile różnych *rzeczy* musi się umieć, żeby ją zastąpić w domu. Pracowałem w Starostwie i gospodarowałem w domu. Do Starostwa przychodzili, załatwiać różne sprawy: inspektor szkolny Welfe, nauczyciel Antoni Winiarski, Jan Przywara, sekretarz miasta i wiele innych osób. Tylko mój pierwszy wychowawca gimnazjalny Aleksander Dubalik zginął w czasie działań wojennych.

Na początku listopada 1918r., niektórzy żołnierze z armii austriackiej, dezercerujący już z wojska, rozbroili posterunek kolbuszowski austriackiej żandarmerii. Dawna Austria upadła. Podbite przez nią narody ogłaszały swoją niepodległość. Polacy w Galicji myśleli o należeniu do wolnej Polski ze stolicą w Warszawie. Ale i u nas i tam sięgali różni ludzie po władzę. Naczelnik Józef Piłsudski ogłosił na styczeń 1919 rok wybory do Sejmu Ustawodawczego. Mój ojciec wrócił z wojny z wielką brodą. Zgolił ją i zajął się gospodarstwem. Zaczęła się kampania wyborcza.

Pamiętam, że w dniu jarmarków w końcu 1918r. i na początku 1919r. przejeżdżali rewolucyjni ludowcy do Majdanu i Tarnobrzegu - żeby agitować za rewolucyjnymi przemianami. Byli to ks. Okoń i Tomasz Dąbał. Przemawiali stojąc na furmance z prawej strony rynku (od kościoła). Mówili o podziale ziemi pańskiej pomiędzy chłopów, o chłopskich rządach i ustroju sprawiedliwości społecznej. Ludzie pytali się o coś, ksiądz odpowiadał, robił się hałas i śmiechy, drwiny. Niektórym chłopom podobało się to, co mówili mówcy. Bardziej jednak niż do władzy dążyli oni do zdobycia jakichkolwiek dóbr materialnych, do obrabowania Żydów, którzy nazywali ich gojami, chamami. I zaczęły się rabunki i pogromy Żydów w naszych miasteczkach. W Kolbuszowej odbyło się to w dniu 6 maja 1919r. późnym popołudniem. Wielkie gromady chłopów uzbrojonych w łomy, żerdzie, pałki, jechały na wozach od Świerczowa i rzuciły się rabować żydowskie sklepy, najpierw od wikarówki do mostu i z innych wsi. Rozbijali pozamykane drzwi, okna, wchodzili do wnętrza. Jedni bili Żydów, łapali dziewczęta i gwałcili, inni zabierali ze sklepów i domów ich to, co się dało, towary,

pościel, żywność ładowali na wozy i zabierali, odjeżdżając. Ja stałem z którymś z kolegów na schodach uliczki wiodącej z rynku do szkoły męskiej i przyglądałem się straszному widowisku. Panował pisk, krzyk, huk rozbijanych drzwi, okien i mebli, nawoływania rabujących. Nagle na posterunku wojskowym mieszczącym się w rynku przy uliczce do żydowskiej bożnicy widać było wychodzących uzbrojonych żołnierzy i cywilów. Biegli oni wzdłuż domów ku dużemu mostowi. Część ich uderzyła na rabusiów, wpadających do domów. Druga część blokowała im drogę do rzeki. Wojskowi złapali z dziesięciu chłopów. Podobno od Tarnobrzegu szli inni chłopci i mieli starcie z wojskiem zastępującym im drogę. Przybyła potem nowa kompania wojska z Rzeszowa i dokonała - po odczytaniu wyroku sądu wojennego, egzekucji na rabusiach. Przyglądała się temu grupa kolbuszowian, w tym i starszej młodzieży.

Praca w Starostwie stawała się coraz bardziej odpowiedzialna i nudna. Ojciec myślał o nowym małżeństwie, a ja zacząłem odczuwać chęć wyjazdu z Kolbuszowej do innej, większej miejscowości.

W gazecie krakowskiej wyczytałem, że zarząd kolei w Oświęcimiu zatrudni od zaraz osoby z małą maturą. Pojechałem tam z kolegą, Sobotą Bronisławem. Naczelnik Stacji dał nam do użytku pokój stacyjny na dwa miesiące. Żywiliśmy się w restauracji na stacji. Przeszedłem przeszkolenie, kurs, nauczyłem się alfabetu Morse'a, telefonowania, telegrafowania i przyjmowałem wiadomości o ruchu pociągów i podawałem je do różnych stacji. Pracowałem tam niecały rok.

Na wiosnę 1920 roku, gdy zaczęła się wojna z bolszewikami, zgłosiłem się w Krakowie jako ochotnik do wojska polskiego, w koszarach na Krowodrzy. Znalazłem się w 205 kompanii ochotniczej. Znowu szkolono mnie przez miesiąc, dano stopień i zawieziono pociągiem pancernym przez Berdyczów do Żytomierza. Stąd poszliśmy marszem bojowym na Żemerynkę i Kijów. Byliśmy - młodzież różna wiekiem i cenzusem, z różnych stron Polski, w Białej Cerkwi. Ze mną był Białek ze Świerczowa, jakiś Olszowy, inni z Przemyśla, Łodzi, Kutna.

Pełniliśmy służbę przy strzeżeniu torów kolejowych, po których kursowały pociągi pancerne z naszym wojskiem. Mieliśmy zająć Ukrainę i wypchać z niej bolszewików. Nie udało się. W końcu kwietnia wycofaliśmy się, uciekaliśmy. Moja trasa wiodła na Lwów. Widziałem okropne sceny, jak szarża naszych ułanów na oddziały Budiennego, "bieżeńców" różne rodziny z wystraszonymi dziećmi. Napady Ukraińców - cywilów na nasze oddziały także na pancerkę "Zagończyk" pod Koziatynem. Bolszewicy podeszli pod Warszawę i Lwów. Trwały słynne walki. Byłem wtedy pod Lwowem. Ale wygraliśmy, w marcu 1921r. po podpisaniu pokoju w Rydze jednostka moja wróciła do Krakowa. Dokonywano demobilizacji. Nie chciałem zostać w wojsku jako oficer zawodowy, więc wróciłem do domu.

W domu ojciec był już żonaty z Anną Kurdówną z Trzęsówki i rodzina nasza powiększyła się o moje przyrodnie rodzeństwo. Szukałem pracy. W Kolbuszowej prawie jej nie było. A poszukujących jej widziało się mnóstwo. Próbowałem pracować to na poczcie, to w sklepie. Na wakacjach przyjechał do rodziny Antoni Winiarski, nasz były nauczyciel ze Szkoły Męskiej, teraz pracownik Kuratorium Okręgu Szkolnego w Brześciu nad Bugiem. Rozmawialiśmy z nim, skarżyliśmy się na brak perspektyw dla młodych. Powiedział, że potrzeba nauczycieli na Kresach Wschodnich, żebyśmy tam jechali, że doksztalimy się i zdobędziemy kwalifikacje zawodowe. Zebraliśmy się, grupa koleżanek i kolegów, omówiliśmy sprawę i napisaliśmy podania. Emma Wolińska, ja, Eugeniusz Dudziński i Staszek Koczko do Inspektoratu w Ostrołęce, Tomasz Jabłoński do Białegostoku,

Leontyna Nowicka do samego Brześcia jako krewna Winiarskiego, Henryk Judziński do Łomży, Bronisław Sobota z Kolbuszowej Górnej do Łucka i inni. Przyjęto nas. Kazano uzupełnić brakujące wykształcenie na kursach wakacyjnych.

Pojechałem w końcu sierpnia 1921r. do Ostrołki na wschód od Warszawy. Zostałem nauczycielem tymczasowym pełniącym od razu obowiązki kierownika szkoły w Malinowie, w Gminie Czerwin w powiecie ostrołęckim. Szkołę jednoklasową trzeba było dopiero zorganizować. Musiałem poderwać ludzi do działania, utworzyć komitet szkolny, zdobyć izby lekcyjne, stołki ławki, tablicę i inne pomoce. Zorganizowałem cztery oddziały klasy pierwszej oraz wieczorowy kurs dla analfabetów. Robiłem kursy wakacyjne składałem, egzaminy i tak zdobyłem kwalifikację nauczycielską.

W 1923 roku ożeniłem się z Heleną Michalską. Po czterech latach pracy przeniesiono mnie już z żoną i pierwszą córką Marią, do miasteczka Czerwin. Zostałem kierownikiem szkoły trzyklasowej. Pracowałem społecznie: na kursach dla dorosłych, w kółkach rolniczych, w kołach gospodyń wiejskich, w Związku Strzeleckim, Związku Młodzieży Wiejskiej. Moja własna rodzina powiększyła się o dwie córki, Krystynę i Teresę oraz syna Zdzisława. Żyło się pracowało, dorabiało. W pracy przyświecał mi zawsze wzór nauczycieli z Kolbuszowej.

W tym czasie otrzymałem medal Józefa Piłsudskiego, odznakę ZNP i ZMW. Tu zastał mnie wybuch II wojny światowej. W sierpniu 1939 roku zostałem powołany do wojska do 71 pułku 18 dywizji piechoty. Brałem udział w walkach nad Narwią, w okolicy Łomży. Zagarnięty przez Niemców uciekłem z niewoli. Powiat ostrołęcki został włączony do Rzeszy. Moją rodzinę jak i wiele innych wysiedlono z pod Ostrołki do Generalnego Gubernatorstwa. Osiedliśmy się we wsi Wiśniowa w powiecie Ostrow Mazowiecka. Zorganizowałem tu, z polecenia pana Wawszczaka, polskiego inspektora szkolnego czterooddziałową szkołę. Pracowałem i w konspiracji. W 1943 roku gestapo chciało mnie aresztować. Udało mi się zbiec i ukrywałem się, lecz rodzina moja cierpiała bicie i prześladowanie. Doczekaliśmy się jednak wyzwolenia przez Armię Radziecką.

W 1945 roku przeniesiliśmy się do Kutna, bliżej rodziny żony. Dostałem pracę w tamtejszej wsi, w Wierzbie. Zostałem członkiem PPS a potem PZPR. Uczylem pełniąc obowiązki kierownika szkoły i uczestniczyłem we wszystkich ówczesnych akcjach społeczno-politycznych, do których wciągano nauczycieli. Byłem przez wiele lat radnym gminnym i podinspektorem szkolnym w Kutnie. Pracowałem przy podziale ziemi z reformy rolnej. Byłem również członkiem i przewodniczącym komitetów rodzicielskich w szkołach średnich, w których uczyły się moje dzieci. Przysparzałem tym szkołom pełnego umeblowania i pomocy szkolnych. Działalem dla wspierania stypendiami, zapomogami czy darami, uczniów biednych, dojeżdżających do szkół. Pod moim kierownictwem zbudowano w Wierzbie nową szkołę i założono przy niej piękny sad. Pogłębiałem także ciągle swoją wiedzę uczestnicząc w kursach zawodowych i związkowych ZNP. Ukończyłem Studium Nauczycielskie. Byłem inspektorem powiatowym oświaty dla dorosłych. Dzieci ukończyły studia wyższe.

Z Wierzbie przeniesiliśmy się do Orątki i Gołębiowa. W 1965 roku dorobiliśmy się mieszkania spółdzielczego w Łodzi-Polecie na ulicy Krzemienieckiej. Równocześnie przeszedłem na emeryturę. Wszystkie trzy córki zostały nauczycielkami. Powychodziły za mąż. Pomagaliśmy chować wnuki.

Nie zrezygnowałem jednak z pracy społeczno-kulturalnej. Wybrano mnie

przewodniczącym komitetu blokowego i byłem nim przez 20 lat i prezesem młodzieżowego ogniska Towarzystwa Krzewienia Kultury Fizycznej (TKKF). Zorganizowałem osiedlowe koło rencistów i emerytów i inwalidów. Koło zbierało się najpierw w piwnicy przy moim ognisku młodzieżowym, potem od 1972r. znalazłem lokum w Kubie "Polesie". Posiada ono trzy sekcje: gospodarczą, socjalno-usługową i kulturalno-impresyjną. Członkinie pierwszej sekcji szyją z zakupionych resztek materiałów codzienne sukienki, fartuszki, wdzianka. Druga sekcja pomaga chorym i niedołączonym koleżankom i kolegom, trzecia organizuje spotkania i imprezy towarzyskie. Braлиśmy udział w konkursach inspirowanych przez związki zawodowe i dostawaliśmy nagrody. Otrzymywane pieniądze w części rozdawaliśmy najniższym uposażonym rencistom, w części zużywaliśmy na kupno maszyn do szycia, magnetofonu itp. W części przeznaczaliśmy na cele społeczne jak na odbudowę Zamku Królewskiego w Warszawie, Centrum Zdrowia Dziecka itp. Przekazujemy upominki dla dzieci z Domu Dziecka. W 1975 roku odwiedziła nas telewizja łódzka i nadała potem o nas audycję. Za pracę swoją otrzymałem wiele podziękowań od władz oraz odznaczeń. Są to:

- Srebrna Odznaka Centralnego Zarządu Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego (1970r.)
- Srebrny Medal 30-lecia PRL (1972r.)
- honorowa Odznaka Złota Towarzystwa Krzewienia Kultury Fizycznej w Łodzi
- medal na 50-lecie pożycia małżeńskiego (1973r.)
- Złota Odznaka Zjednoczonego Związku Emerytów, Rencistów i Inwalidów (1974r.)
- Złota Odznaka ZNP (1974r.)
- Krzyż Kawalerski Odrodzenia Polski (1983r.)

W ciągu lat życia i pracy poza Kolbuszową, zaglądałem co jakiś czas i do tego mojego miasteczka i do domu. Po powrocie z I wojny światowej zbudował ojciec nowy dom w miejsce starego, w którym się urodziłem. Siostry ojca powychodziły za mąż. Jedna za Mytycha Piotra, druga za Sobotę, trzecia wyjechała do USA. Brat mój Franek ożenił się a jego rodzinę stanowiły trzy córki i syn. Także dorastało czworo młodszego rodzeństwa z drugiego małżeństwa ojca. Życie w Kolbuszowej stopniowo polepszało się, chociaż brakowało w niej nadal zakładów pracy i połączenia kolejowego ze światem. Najważniejszym ośrodkiem życia oświatowo kulturalnego były nadal w 20-leciu międzywojennym gimnazjum i budynek "Sokoła". Pracowali w nich tylko inni nieznanymi mi już ludzie. Życie towarzyskie w tym czasie skupiało się w polskich restauracjach Zacha i Karakiewicza. Na początku tego 20-lecia był w Kolbuszowej oryginalny człowiek - Madowski Sędzia Sądu Grodzkiego, mędrzec i żartowniś, przebywał często w obydwu restauracjach. Grał u Karakiewicza, gdzie był bilard. Rozmawiał on chętnie z młodymi ludźmi, bawił wrodzonym darem dowcipu, ale i nauczał życiowej mądrości. Młodzi mężczyźni poczytywali sobie za zaszczyt przebywanie w jego towarzystwie. Potem we wrześniu w 1939r. w bitwie pod Kolbuszową spaliła się połowa tego miasta i większość wsi Kolbuszowa Dolna. Dom mojego ojca spalił się również. Po wojnie w 1949r. ojciec zmarł, a najmłodszy mój brat Jan wraz ze swoją matką zbudował nowy dom, w którym mieszka z rodziną do dziś. Brat ten zdobył wykształcenie średnie i pomaturalne studium ekonomiczne, z zakresu handlu i obrotu towarowego. Pracę rozpoczął również, jak ja, w Starostwie Powiatowym w Kolbuszowej w 1950r. Po odbyciu służby wojskowej pracuje w handlu spółdzielczym.

W latach 1960-1974 zbudowano linię kolejową Rzeszów-Kolbuszowa-Nowa

Dęba. Wśród pociągów znalazł się pociąg Przemysł-Łódź Kaliska i odwrotnie. Mogłem więc już jako emeryt jeździć do Kolbuszowej i wracać do Łodzi koleją. Robiłem to. Patrzyłem z radością jak Kolbuszowa się rozbudowuje, jak powstają w niej fabryki: fabryka obuwia, betonów, mebli i inne. Odwiedzałem moich dawnych jeszcze żyjących nauczycieli, zwłaszcza panią Marię Ogonek. W jej domu wrastającym w ziemię, za mojego dzieciństwa była apteka. Byłem u niej po raz ostatni w 1977 roku. Miałem lat 76 ona 92. Wnet potem zmarła. Ja trwam w Łodzi i często wspominam Kolbuszowę, kochane miasteczko, dziś już miasto, z którego jestem dumny.

Byłem w niej, po raz ostatni, w maju 1992r., na uroczystych obchodach osiemdziesięciolecia istnienia Gimnazjum, dzisiejszego Liceum Ogólnokształcącego. Odsłoniłem wykonaną tablicę pamiątkową. Cieszę się długim życiem.

*Opracowała Halina Dudzińska*